

Złota reneta



Akwarela, fot. azazelok z Pixabay

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Pokój, w którym spędziłem ponad dwadzieścia lat życia był na pierwszym piętrze willi z ogrodem i miał balkon z oszklonymi drzwiami. Obok drzwi były jeszcze dwa okna. Za oknem po lewej stronie drzwi rosła złota reneta. Widać ją lepiej przez okno małego pokoju, który zajmowała ciotka Stefa, starsza siostra matki, która wychowała mnie i mego młodszego brata. Większy pokój zajmuje teraz ojciec, a ja zajmuję mniejszy pokój ciotki kiedy tylko jestem gościem u rodziców we Wrocławiu. W pokoju jest szafa na odzież, ta sama, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy ciotka, a także półki z książkami, stolik i wąskie łóżko. Na ścianach pomieściłem dużo obrazów, chociaż powierzchnia ścian jest ograniczona.

Za oknem po prawej stronie widać od zewnątrz ścianę domu oddzielającą obydwa pokoje, naprzeciw dęby w parku po drugiej stronie ulicy, a po lewej złotą renetę. Zewnętrzzną powierzchnię ściany domu tworzą kwadraty jasnego tynku, między którymi są czarne, smołowane belki. Nad nią widoczny jest fragment dachu. Gdy bywam u rodziców, patrzę na renetę i na drzewa w parku, mam ten sam widok,

który miała ciotka Stefa przez ponad trzydzieści lat. Po wojnie, w czasie której ona, jak i najstarsza siostra matki, Jana, straciły mężów, ciotka Stefa zamieszkała u nas i zajmowała się mną i bratem, robiła zakupy stojąc w długich kolejkach, które formowały się codziennie przed sklepami w latach pięćdziesiątych, gotowała i sprzątała w czasie gdy matka była w pracy, a także podczas jej paroletniej rekonwalescencji po chorobie i operacji jakie przeszła po urodzeniu brata. Wieczorami rodzice bywali zmęczeni i nie mieli ochoty na zabawy z dziećmi. Ojciec przychodził późno, bo pracował zwykle dłużej by dorobić do marnej pensji. Matka często nie czuła się najlepiej. Tylko w niedzielę ciotka mogła od nas odpocząć, bo wyjeżdżaliśmy zwykle do dziadków, rodziców ojca, którzy mieszkali w Trzebnicy, małym mieście położonym dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Wrocławia. Kiedy wracaliśmy do domu, mówiliśmy jej dobranoc, czasem przez zamknięte już drzwi pokoju, czasem wchodziliśmy i opowiadali o tym co się zdarzyło po drodze i na miejscu.

Dojeżdżaliśmy do Trzebnicy wąskotorową lub normalną koleją, a w późniejszych latach autobusami. Najbardziej lubiłem wąskotorową kolejkę, bo jechała wolno, zatrzymywała się często na przystankach, na których wsiadali ludzie ubrani i mówiący nieco inaczej niż ludzie w mieście, a przez okna można było oglądać krajobraz, zrazu nizinny, podmiejski, po kilkudziesięciu minutach pagórkowaty, urozmaicony. W dni pogodne widać było na horyzoncie sylwetkę samotnej Ślęży, a nawet zaczynające się za nią pasmo wyższych gór. Zawsze próbowałem zgadnąć jak daleko tym razem będzie można sięgnąć wzrokiem, ale rzadko udawało mi się, dzięki czemu widok zaskakiwał czymś nowym. Niekiedy były to burzowe chmury nadchodzące od zachodu, niekiedy piękny zachód słońca, a w jesieni lub na wiosnę warstwa ciężkiej mgły, która była zwykle szara, lecz w szczególnych okolicznościach zabarwiała się czerwienią zachodu lub jaśniała pod bezchmurnym niebem.

Opowiadaliśmy ciotce o ładnym zachodzie lub o gościach, których nigdy nie brakowało u dziadków. Na wiosnę mieliśmy dla niej nowiny o kwitnących podmiejskich sadach, a jesienią o kolorowych lasach bukowych. Dolina Trzebnicy położona była za Wzgórzami Trzebnickimi, więc miała nieco inny klimat. Drzewa owocowe kwitły tam trochę później lub wcześniej niż w ogrodach willowych dzielnic Wrocławia. Wtedy ciotka mówiła nam o ogrodzie przy domu jej i matki rodziców, Heleny i Stefana Czekanowskich w Buczaczu. O tym, jak bawiły się z czterema innymi siostrami, w tamtym ogrodzie, w tamtych pięknych,

przedwojennych latach. Jak wchodziły na drzewa, żeby zrywać czereśnie, wiśnie, jabłka i gruszki. O tym, jak ciotka Wiesia spadła z gałęzi, ale na szczęście nic jej się złego nie stało. O tym jak wspaniałe były zbiory owoców ze wszystkich drzew z ogrodu, który położony był na stoku doliny Strypy. Legendę ich dzieciństwa powtarzała każda z ciotek na swój sposób, gdy do nas przyjeżdżały. Opowieści ciotki Stefy powtarzała też matka, ale to Ciotka Stefa miała najwięcej do powiedzenia, bo mogła porównać pracę w buczackim i wrocławskim ogrodzie. Po wojnie i utracie domu, ciotka Stefa starała się odtworzyć namiastkę ich utraconego raj. Pielęgnowała róże i dalie, siała marchewkę i sałatę. W tych wiosennych zasiewach pomagaliśmy jej czasem z bratem. Jednak tylko renety sprzed okna jej pokoju uznawała za porównywalne do jabłek z Buczacza. Podobnie jak i matce, brak jej było krzewów jaśminu i bzu otaczających dom, bo cóż to znaczyły dwa gatunki bzu i tylko jeden krzew jaśminu.

Gdy obrodziły trzy jabłonie we wrocławskim ogrodzie, ciotka próbowała robić wino z jabłek. Było jednak zwykle za kwaśne albo zamieniało się w ocet. Z drzew buczackich jabłka były znacznie lepsze, komentowała ciotka. Jesienią jadała renety. Obierała je powoli, starannie, a potem starała się by na ogryzku nie zostało zbyt wiele miąższu. Najbardziej cieszyło ją kwitnące na wiosnę drzewo. Wtedy wołała mnie i brata i pokazywała jak wschodzące słońce prześwietla tonącą w białych kwiatach koronę drzewa. Patrzcie, to prawie jak w Buczaczu, mówiła i milkła, pograżając się we wspomnieniach. Cóż mogliśmy wiedzieć o tamtym nieistniejącym ogrodzie. Niewiele, ale powinniśmy byli zapamiętać, że był taki ogród, w którym sześć dziewcząt z koleżankami mogło zniknąć z oczu rodziców i tylko głośnie nawoływania pozwalały przekonać się, że żadna nie wdrapała się za wysoko, ani nie robi czegoś równie niebezpiecznego. Opowieści ciotki Stefy wydawały się nam najprawdziwsze, bo to jej pomagaliśmy przy pracy w ogrodzie we Wrocławiu. Zamyśloną nad obrazami z wiosennego ogrodu pamiętam ciotkę najlepiej.

Jabłoń za moim oknem miała w tym roku szczególnie wiele jabłek. Ojciec starannie poukładał je na strychu i w piwnicy. Nawet zwycięsko walczył z myszami, które się dowiedziały o zbiorach. Matka twierdzi jednak, że i w tym roku renety nie były najlepsze. Lato było zbyt suche, jesień zbyt deszczowa. Kiedy spadały z drzewa i kiedy zrywałem je przy pomocy płóciennego worka zawieszzonego na długim kij, co wieczora zjadałem kilka złotych renet. Zaraz po zerwaniu z drzewa były najlepsze, twarde i soczyste. Ale i teraz jem je z

przyjemnością. Oczywiście nie mogę porównać tych renet do tamtych, z buczackiego ogrodu. Mogę tylko sądzić, że są porównywalne. I mogę powtarzać sobie w myśli zapewnienia ciotek i matki. A także powtarzać za Rilkiem fragment dziewiątej elegii duinejskiej. Te o drzewie i oknie. I o tym, że może jesteśmy tu właśnie po to, by wymawiać takie proste słowa jak dom, most, fontanna, brama, dzban... drzewo owocowe, okno. Albo, najwyżej: kolumna, wieża. Ale przede wszystkim: dom, drzewo, okno. Powinniśmy powtarzać takie słowa choćby samym sobie.

Ryszard Sawicki, urodzony w Kamiennej Górze, wrocławianin, w latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz. Ukończył Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. **Techniki:** malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograviura. **Wystawy:** indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. **Prace w zbiorach:** Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). **Publikacje:** eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Zeszyty Literackie* (Paryż-Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn). **Nagrody:** złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). **Członkostwo:** Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994). **Wymieniony w:** Polish American Who's Who, Directory of American Portrait Artists.